

LEE CHILD

NIGDY NIE WRACAJ

A red circular logo with a black border containing the text "Jack Reacher" in white. The logo is positioned on the left side of the image, partially overlapping a chain-link fence and a vertical black post. The background of the entire image is a grayscale photograph of a prison or detention facility, featuring a chain-link fence in the foreground, topped with three strands of barbed wire. In the distance, several large, rectangular buildings are visible under a cloudy sky.

Jack
Reacher

1

Ostatecznie wsadzili Reachera do samochodu i zawieźli do oddalonego o półtora kilometra motelu, gdzie nocny recepcjonista dał mu pokój, w którym było wszystko, czego Reacher się spodziewał, bo nocował już w takich pokojach tysiąc razy. Był tam wspólny dla obu pokoi hałaśliwy grzejnik, przy którym trudno zasnąć i który pozwala zaoszczędzić na prądzie, były wkręcone wszędzie, dające tę samą oszczędność niskowatowe żarówki, cienka wykładzina dywanowa, która wysycha parę godzin po wypraniu, dzięki czemu pokój można wynająć tego samego dnia. Nie żeby prano ją zbyt często. Wykładzina była w ciemny deseń, który świetnie maskował plamy. Podobnie jak narzuta na łóżku. Wszystko wskazywało na to, że prysznic będzie przerdzewiała, a brodzik na wpół zatkany, ręczniki cienkie, mydło mikroskopijne, a szampon tani. Meble były drewniane, ciemne i porysowane, telewizor mały i stary, zasłony szare od brudu.

Wszystko zgodnie z oczekiwaniami. Nic, czego by nie widział już tysiąc razy.

Ale tak czy owak dziadostwo.

Więc nie chowając nawet klucza do kieszeni, obrócił się na

pięcie i wyszedł z powrotem na parking. Było chłodno i trochę wilgotno. W połowie wieczoru, w połowie zimy, w północno-wschodnim zakątku Wirginii. Niedaleko toczył leniwie wody Potomac. Za nim, na wschodzie, był Dystrykt Kolumbii, bijący od niego blask rozjaśniał chmury. Stolica kraju, w którym działa się najróżniejsze rzeczy.

Samochód, którym go podwieźli, już odjeżdżał. Reacher patrzył, jak tylne światła giną we mgle. Po chwili zniknęły i świat ucichł i zastygł w bezruchu. Ale tylko na minutę. Nagle pojawił się inny samochód, sunący dziarsko i żwawo, jakby dobrze wiedział, dokąd zmierza. Skręcił na parking. Zwykły sedan, w ciemnym kolorze. Prawie na pewno rządowy. Kierował się w stronę recepcji, ale kiedy jego reflektory omiotły nieruchomą postać Reachera, ruszył w jego stronę.

Goście. Cel wizyty nieznany, wiadomość dobra lub zła.

Auto zatrzymało się równoległe do budynku, w takiej samej odległości od Reachera, jak ta, która dzieliła go od drzwi pokoju, zostawiając mu miejsce wielkości bokserkiego ringu. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Mimo chłodu ubrani byli tylko w opięte białe podkoszulki oraz sportowe spodnie podobne do tych, jakie sprinterzy ściągają tuż przed biegiem. Obaj mieli mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu i ważyli dziewięćdziesiąt kilo. Mniejsi od Reachera, ale niewiele. Obaj byli żołnierzami. To nie ulegało wątpliwości. Reacher poznał to po ich uczesaniu. Żaden cywilny fryzjer nie byłby tak pragmatyczny ani tak brutalny. Nie pozwoliłyby na to prawa rynku.

Facet, który siedział na miejscu pasażera, obszedł maskę i dołączył do kierowcy. Obaj stanęli ramię przy ramieniu. Obaj mieli na nogach adidas, duże, białe i bezkształtne. Żaden nie był ostatnio na Bliskim Wschodzie. Ani śladu opalenizny, ani śladu znużenia i napięcia w oczach. Obaj byli młodzi, gdzieś w okolicy trzydziestki. Formalnie rzecz biorąc, Reacher mógłby być ich ojcem. Wyglądali na podoficerów. Prawdopodobnie

starszych szeregowców albo kaprali, nie sierżantów. Nie mogli być sierżantami. Nie byli wystarczająco bystrzy. W gruncie rzeczy nie byli wcale bystrzy. Mieli puste, tępe twarze.

— Jack Reacher? — odezwał się facet, który siedział na miejscu pasażera.

— Kto chce wiedzieć? — odpowiedział pytaniem Reacher.

— My.

— A kim jesteście?

— Twoimi doradcami prawnymi.

Co było oczywiście nieprawdą. Reacher wiedział o tym. Wojskowi prawnicy nie podróżują parami i nie oddychają przez usta. Ci faceci nie byli prawnikami. A zatem zła, a nie dobra wiadomość. W takim przypadku najlepiej podjąć natychmiastową akcję. Dość łatwo zamarkować nagle zrozumienie, skwapliwie podejść z wyciągniętą w powitalnym geście ręką, dość łatwo sprawić, by skwapliwie wyciągnięta ręka niepowstrzymanie uniosła się do ciosu, łokieć mocno trafił w twarz faceta po lewej stronie, a prawa stopa uderzyła w ziemię, tak jakby celem całego tego ćwiczenia było zabicie wymyślanego karalucha, podczas gdy w rzeczywistości energia wygenerowana przez tupnięcie pozwala skierować ten sam łokieć w gardło faceta po prawej stronie, raz, dwa, trzy, łup, trzask, prask, gra skończona.

Dość łatwo. I to jest zawsze najbezpieczniejsze wyjście. Stara mantra Reachera: zastosuj odwet, zanim nastąpi atak. Zwłaszcza kiedy przeciwnik ma przewagę liczebną, kiedy jest młodszy i ma więcej energii.

Ale. Nie był pewien. Nie do końca. Jeszcze nie. I nie mógł popełnić takiej pomyłki. Nie w tym momencie. Nie w tych okolicznościach. Czuł, że powinien się hamować. Pozwolił, by chwila minęła.

— I jak brzmi wasza porada prawna? — zapytał.

— Zachowanie niezgodne z honorem oficera — stwierdził

facet. — Okryłeś hańbą jednostkę. Sąd wojenny zaszkodziłby nam wszystkim. Więc wynoś się stąd w podskokach. I nigdy nie wracaj.

— Nikt nic nie mówił o sądzie wojennym.

— Jeszcze nie. Ale wkrótce o nim usłyszysz. Więc nie przeginaj pały.

— Mam rozkaz tu zostać.

— Wcześniej nie mogli cię znaleźć. Teraz też nie znajdują. Wojsko nie korzysta z usług łowców ludzi. A żaden łowca i tak nie trafi na twój ślad. Biorąc pod uwagę to, jak żyjesz.

Reacher milczał.

— Więc taka jest nasza porada prawna — podsumował facet.

— Odnotowałem — mruknął Reacher.

— Chodzi nie tylko o to, żebyś ją odnotował.

— Tak?

— Oferujemy ci zachętę.

— Jakiego rodzaju?

— Za każdym razem, kiedy cię tu znajdziemy, skopimy ci dupę.

— Naprawdę?

— Zaczynając od dzisiaj. Żebyś miał ogólne pojęcie, co masz robić.

— Kupowaliście kiedyś jakieś urządzenie elektryczne? — zapytał Reacher.

— A co to ma do rzeczy?

— Widziałem kiedyś jedno w sklepie. Ma z tyłu żółte ostrzeżenie. Piszą tam, że niewłaściwe użycie grozi śmiercią lub kalectwem.

— I co z tego?

— Przyjmijmy, że do mnie jest dołączone takie ostrzeżenie.

— Nie boimy się ciebie, stary.

„Stary”. Reacherowi stanął przed oczyma ojciec. W jakimś słonecznym miejscu. Pewnie na Okinawie. Stan Reacher, uro-

dzony w Lakonii w stanie New Hampshire, kapitan piechoty morskiej, stacjonujący w Japonii wraz z żoną i dwoma nastoletnimi synami. Reacher i jego brat mówili na ojca „stary” i w ich oczach rzeczywiście był stary, mimo że musiał mieć wtedy dziesięć lat mniej, niż Reacher miał tego wieczoru.

— Zabierajcie się stąd — powiedział. — Wracajcie tam, skąd przyjechaliście. To wszystko was przerasta.

— My tak tego nie widzimy.

— Kiedyś tak zarabiałem na życie — dodał. — Ale pewnie o tym wiecie?

Bez odpowiedzi.

— Znam wszystkie ruchy — zaznaczył. — Niektóre sam wymyśliłem.

Bez odpowiedzi.

Reacher nadal trzymał w ręku klucz. Ogólna zasada: nie atakuj faceta, który właśnie zamknął za sobą drzwi. Pęk kluczy jest lepszy, ale nawet pojedynczy klucz może być skuteczną bronią. Oprzyj główkę o wnętrze dłoni, ustaw trzonek między palcem wskazującym i środkowym i masz całkiem porządną kastet.

Ale. To byli tylko głupi gówniarze. Nie było powodu, by się unosić. Ani łamać im kości.

Reacher schował klucz do kieszeni.

Ich adidas wskazywały, że nie mieli zamiaru go kopać. Nikt nie wymierza kopniaków w miękkich sportowych butach. To nie ma sensu. Chyba że zamierza się kopać wyłącznie w celu uzyskania punktów. Tak jak to się odbywa w jednej z tych fetyszystowskich sztuk walki, której nazwa przypomina chińską potrawę. Taekwondo i tak dalej. Sprawdza się świetnie na olimpiadzie, ale beznadziejnie na ulicy. Unosząc nogę jak pies przy hydrancie, człowiek aż się prosi, żeby spuścić mu manto. Prosi się, żeby go przewrócić i skopać do nieprzytomności.

Czy ci faceci w ogóle o tym wiedzieli? Czy przyjrzeni się

jego stopom? Reacher miał na nich ciężkie buciory. Wygodne i trwałe. Kupił je w Dakocie Południowej i zamierzał nosić przez całą zimę.

— Wchodzę do środka — oznajmił.

Bez odpowiedzi.

— Dobranoc — dodał.

Bez odpowiedzi.

Reacher wykonał płynnie ćwierć obrotu, zrobił pół kroku w stronę drzwi i tak jak się spodziewał, dwaj faceci rzucili się na niego, poruszając się chaotycznie i o wiele szybciej niż on i mając zamiar go złapać.

Reacher odczekał chwilę, pozwalając im się rozpędzić, a potem wykonał ćwierć obrotu z powrotem. W tym momencie poruszał się już tak samo szybko jak oni, sto dziesięć kilogramów zderzających się ze stu osiemdziesięcioma, i obracał się nadal, celując szerokim lewym sierpowym w faceta po lewej stronie. Cios zgodnie z planem trafił go prosto w ucho, jego głowa poleciała w bok i odbiła się od ramienia partnera, którego Reacher walnął prawym hakiem w podbródek. Uderzenie dosięgło celu jak na rysunku instruktażowym i głowa faceta poleciała w górę i do tyłu prawie w tym samym momencie i w taki sam sposób, w jaki głowa jego partnera poleciała na bok. Jakby obaj byli lalkami, a lalkarz kichnął.

Nadal jednak trzymali się na nogach. Facet z lewej kołysał się niczym marynarz na okręcie, ten z prawej zataczał się do tyłu. Mężczyzna z lewej z trudem zachowywał równowagę i miał zupełnie odsłonięty korpus. Reacher walnął go w spłot słoneczny, na tyle mocno, że zabrakło mu tchu, ale nie aż tak mocno, by spowodować trwały uraz neurologiczny. Facet zgiął się wpół, przykucnął i złapał za kolana. Reacher ominął go i podszedł do tego z prawej strony, który zobaczył go i próbował trafić prawym prostym. Reacher odparował uderzenie lewym przedramieniem i znów zastosował cios w spłot słoneczny.

Facet zgiął się wpół, tak samo jak kolega.

Ustawienie ich twarzami w odpowiednią stronę i popchnięcie obcasem buta, najpierw jednego, potem drugiego, w stronę samochodu nie nastręczyło już większych trudności. Walnęli całkiem mocno głowami w drzwi i legli na ziemi. Na karoserii pozostały płytkie wgłębienia. Obaj nadal byli przytomni i spazmatycznie łapali powietrze.

Rano czekał ich ból głowy i konieczność tłumaczenia się z uszkodzeń samochodu. I na tym koniec. Biorąc pod uwagę okoliczności, obszedł się z nimi całkiem łagodnie. Miłosiernie. Uprzejmie. Nawet delikatnie.

Stary.

Mógłby być ich ojcem.

Przebywał w Wirginii dopiero od niecałych trzech godzin.

2

Reacher w końcu tam dotarł, pokonując całą drogę z zasypanej śniegiem Dakoty Południowej. Ale nie tak szybko. Dwa razy zatrzymało go coś w Nebrasce, a potem też szło mu niesporo. Długo czekał w Missouri, nim zabrał go srebrny ford prowadzony przez kościstego faceta, który nawijał przez całą drogę z Kansas City do Columbii, a potem nagle umilkł. W Illinois było szybkie porsche, jak się domyślał, kradzione, a potem na stacji benzynowej dwaj faceci z nożami. Chcieli, żeby im oddał pieniądze, i zdaniem Reachera, nie wyszli jeszcze ze szpitala. Na dwa dni utknął w Indianie, a potem trafił mu się poobijany niebieski cadillac, prowadzony powoli przez dystyngowanego starszego dżentelmena w muszce tak samo niebieskiej jak jego samochód. W Ohio spędził cztery dni w małym miasteczku i w końcu zabrał się czerwonym silverado, którym podróżowała młoda para z psem, szukająca przez cały dzień pracy. Na którą, zdaniem Reachera, mogli liczyć tylko oni dwoje. Psu niełatwo będzie znaleźć jakieś zatrudnienie. Niewykluczone, że zawsze będzie na cudzym garnuszku. To był duży, bezużyteczny kundel jasnej maści, mniej więcej czteroletni, ufny i przyjazny. I chociaż był środek zimy, chętnie

dzielił się sierścią. Pod koniec Reacher cały był pokryty złotym puchem.

Potem nastąpił bezsensowny wypad na północny wschód do Pensylwanii, ale nie udało mu się złapać okazji w innym kierunku. Spędził dzień w pobliżu Pittsburgha, a następnie dzień w pobliżu Yorku, i w końcu czarny, mniej więcej dwudziestoletni facet zawiózł go białym, mniej więcej trzydziestoletnim buickiem do Baltimore w stanie Maryland. Generalnie wolno to trwało.

Ale z Baltimore poszło już jak z płatka. Baltimore przycupnęło na międzystanowej autostradzie numer dziewięćdziesiąt pięć i następnym przystankiem był Dystrykt Columbii. Ta część Wirginii, do której zmierzał Reacher, położona była w gruncie rzeczy w obrębie Waszyngtonu, niewiele dalej na zachód od cmentarza Arlington niż Biały Dom na wschód. Reacher dojechał z Baltimore autobusem. Wysiadł na dworcu za Union Station i przeciął miasto, najpierw idąc K Street do Washington Circle, potem Dwudziestą Trzecią do pomnika Lincolna, i w końcu przez most do cmentarza. Przy jego bramie był przystanek autobusowy. Lokalnej linii, głównie dla ogrodników. Generalnie celem Reachera było Rock Creek, jedno z wielu w tym rejonie miejsc o takiej nazwie, ponieważ wszędzie było dużo skał i strumieni, a osadnicy mieszkali daleko od siebie i mieli podobne nazewnicze nawyki. W epoce peruk, bryczesów do kolan oraz wszechobecnego błota Rock Creek było z pewnością małą wioską zamieszkaną przez kolonizatorów, ale później stało się kolejnym anonimowym skrzyżowaniem na mającym dwieście pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych obszarze zabudowanym drogimi domami i tanimi kompleksami biurowymi. Wyglądając przez okno autobusu, Reacher rozpoznawał stare widoki, odnotowywał nowe nabytki i czekał.

Jego celem był przysadzisty budynek wzniesiony mniej więcej sześćdziesiąt lat wcześniej w dawno już zapomnianym

celu przez pobliski departament obrony. Może czterdzieści lat później złożyła na niego ofertę żandarmeria wojskowa, jak się okazało, przez pomyłkę. Jakiś oficer miał na myśli inne Rock Creek. Ale i tak dostał ten budynek. Przez pewien czas stał pusty, a potem przydzielono go nowo sformowanej 110. specjalnej jednostce żandarmerii wojskowej.

Było to najbliższe pojęciu domu miejsce, jakie Reacher kiedykolwiek posiadał.

Wysiadł z autobusu w odległości dwóch przecznic, na rogu, u stóp długiego wzniesienia, które pokonywał kiedyś tyle razy. Droga przed nim była trzypasmowa, wysadzana starymi drzewami, z chodnikami z popękanych betonowych płyt. Budynek dowództwa stał po lewej stronie, na szerokiej działce za wysokim kamiennym murem. Widać było tylko jego dach z szarych łupków, po północnej stronie pokryty mchem.

Z trzypasmówki prowadził do niego wjazd biegnący między dwoma ceglаныmi filarami, które w czasach Reachera pełniły funkcję czysto dekoracyjną, ponieważ nie było między nimi bramy. Teraz jednak została zamontowana. Na kolumnach osadzono ciężkie stalowe wrota ze stalowymi kółkami, które toczyły się po wpuszczonych w stary asfalt zakrzywionych szynach. W teorii było to spowodowane wymogami bezpieczeństwa. Ale nie w praktyce, bo wrota były otwarte. Za nimi, tuż za kręgiem zataczanym przez kółka, stała budka wartownika, która również była nowa. Pełnił w niej wartę starszy szeregowiec w mundurze ACU, który zdaniem Reachera przypominał pizamę, cały workowaty i we wzorki. Późne popołudnie przechodziło we wczesny wieczór i robiło się coraz ciemniej.

Reacher podszedł do budki wartownika i szeregowiec posłał mu pytające spojrzenie.

— Przyszedłem odwiedzić waszą komendant — powiedział Reacher.

— Ma pan na myśli major Turner? — spytał facet.

— Ilu macie tutaj komendantów?
— Tylko jedną, proszę pana.
— Ma na imię Susan?
— Tak jest, proszę pana. Zgadza się. Major Susan Turner, proszę pana.

— To właśnie z nią chcę się widzieć.
— Jakie mam podać nazwisko?
— Reacher.
— Jakiego rodzaju ma pan sprawę?
— Osobistą.
— Proszę chwilę poczekać. — Facet podniósł słuchawkę telefonu i zawiadomił kogoś wyżej. Pan Reacher z wizytą do major Turner. Rozmowa trwała o wiele dłużej, niż Reacher się spodziewał. W którymś momencie wartownik zasłonił dłonią słuchawkę. — Jest pan tym samym Reacherem, który był tu kiedyś dowódcą? — zapytał. — Majorem Jackiem Reacherem?

— Tak.
— I rozmawiał pan przez telefon z major Turner, przebywając gdzieś w Dakocie Południowej?
— Tak.

Facet przekazał dwie twierdzące odpowiedzi i przez chwilę słuchał swojego rozmówcy. W końcu odłożył słuchawkę.

— Może pan wejść, proszę pana — powiedział. Miał chyba zamiar udzielić mu wskazówek, ale zreflektował się. — Zna pan chyba drogę — dodał.

— Chyba tak — potwierdził Reacher i ruszył do środka. Po przejściu dziesięciu kroków usłyszał za sobą głośny zgrzyt i obejrzał się.

Wrota zamykały się za nim.

• • •

Stojący przed nim budynek utrzymany był w klasycznym stylu departamentu obrony z lat pięćdziesiątych. Długi i niski,

z kamienia, cegły i łupków, z zielonymi metalowymi futrynami okien i zielonymi okrągłymi poręczami przy prowadzących do wejścia schodach. Lata pięćdziesiąte to był złoty wiek dla departamentu obrony. Kolosalny budżet. Siły lądowe, marynarka wojenna, siły powietrzne i piechota morska dostawały wszystko, czego chciały. A nawet więcej. Na parkingu stały samochody. Kilka wojskowych sedanów, zwyczajnych, ciemnych i porządnie zużytych, i kilka prywatnych pojazdów w jaśniejszych kolorach, ale na ogół starszych. Obok małego czerwonego roadstera stał samotny humvee, wielki ciemnozielono-czarny i złowrogi. Reacher zastanawiał się, czy roadster nie należy do Susan Turner. Wydawało mu się to całkiem prawdopodobne. Przez telefon robiła wrażenie kobiety, która może jeździć czymś takim.

Wspiął się po kilku kamiennych schodkach do drzwi. Te same schodki, te same drzwi, choć od tamtego czasu odmalowane. Zapewne więcej niż raz. Armia ma tony farby i zawsze chętnie jej używa. Za drzwiami wszystko wyglądało z grubsza tak samo jak zawsze. Po prawej stronie holu schody na pierwsze piętro, po lewej recepcja. Dalej hol przechodził w korytarz, który biegł wzdłuż całego budynku, z drzwiami po lewej i prawej stronie. W drzwiach były szybki z trawionego szkła. Na korytarzu paliło się światło. Była zima i w budynku stale panował półmrok.

W recepcji siedziała kobieta w takiej samej piżamce ACU jak facet przy bramie, ale z dystynkcjami sierżanta na naszywce pośrodku piersi. Niczym tarcza strzelnicza, pomyślał Reacher. Cel, pal! Znacznie bardziej wolał stary wzór munduru w leśny kamuflaż. Kobieta była czarna i chyba nie ucieszył jej jego widok. Sprawiała wrażenie bardzo poruszonej.

— Jack Reacher do major Turner — powiedział.

Kobieta kilka razy otworzyła i zamknęła usta, jakby miała mu mnóstwo do powiedzenia.

— Lepiej niech pan idzie na górę do jej gabinetu — odezwała się w końcu. — Wie pan, gdzie to jest?

Reacher pokiwał głową. Wiedział, gdzie to jest. To był kiedyś jego gabinet.

— Dziękuję, sierżant — powiedział.

Wszedł po schodach. Takie same sfatygowane kamienne płytki, taka sama metalowa poręcz. Chodził tymi schodami tysiące razy. Zakręcały raz, kończyły się dokładnie nad środkiem holu i wychodziły na długi korytarz pierwszego piętra. Palily się tam światła. Podłoga wyłożona była takim samym linoleum. W drzwiach gabinetów po prawej i po lewej stronie tkwiły takie same szybki z trawionego szkła jak na parterze.

Jego gabinet był trzeci po lewej stronie.

To znaczy gabinet Susan Turner.

Sprawdził, czy koszula nie wystaje mu ze spodni i przeczesał palcami włosy. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Spodobał mu się jej głos przez telefon. To wszystko. To był głos interesującej osoby. Chciał się z nią spotkać. Po prostu. Dał dwa kroki do przodu i stanął. Mogła go wziąć za wariata.

Ale kto nie ryzykuje, ten traci. Wzruszył ramionami i szedł dalej. Trzeci gabinet po lewej. Drzwi były takie same jak kiedyś, tyle że pomalowane. Lite na dole, przeszkłone na górze. Deseń na półmatowym trawionym szkłe dzielił wszystko na pionowe prążki. Na ścianie przy klamce wisiała tabliczka w korporacyjnym stylu z napisem „Komendant jednostki, major S.R. Turner”. Za czasów Reachera napis był odbity z szablonu na drewnie pod szybą i jeszcze bardziej lapidarny: „Komendant mjr Reacher”.

Zapukał.

Usłyszał niewyraźny głos. To mogło być „wejść”. Odetchnął głęboko, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Spodziewał się jakichś zmian. Nie było ich jednak zbyt wiele. Takie samo linoleum na podłodze, ciemne i niezbyt starannie

wyfroterowane. Takie samo biurko, stalowe jak pancernik, pomalowane, lecz tu i tam starte do gołego metalu, nadal wgniecione w miejscu, gdzie pod koniec swojego urzędowania wałnął w blat głową pewnego faceta. Takie same krzesła, to za biurkiem i to przed nim, praktyczne meble z połowy ubiegłego stulecia, które teraz można by opchnąć za dużą forszę w hipsterskim sklepie w Nowym Jorku albo San Francisco. Takie same szafki na akta i taka sama lampa: zawieszona na trzech krótkich łańcuszkach biała szklana misa.

Różnice były w większości łatwe do przewidzenia i wynikające z upływu czasu. Na biurku stały trzy konsole telefoniczne, podczas gdy wcześniej był tam jeden ciężki i czarny aparat z tarczą. Tam, gdzie przedtem leżały tacki na dokumenty przychodzące i wychodzące oraz ryza papieru, stały dwa komputery, stacjonarny i laptop. Mapa na ścianie była nowa i aktualna, a pod sufitem paliła się zielonkawym niezdrowym światłem fluorescencyjna, energooszczędna żarówka. Postęp, nawet w departamencie sił zbrojnych.

Tylko dwie rzeczy w gabinecie były zaskakujące i trudne do przewidzenia.

Po pierwsze, osoba siedząca za biurkiem nie była majorem, lecz podpułkownikiem.

Po drugie, nie była kobietą, lecz mężczyzną.

3

Mężczyzna siedzący za biurkiem miał na sobie typowy mundur polowy armii USA z pikselowym kamuflażem. Tyle że na nim wyglądał on gorzej niż na innych. Niczym kostium przebierańca. Niczym coś, co wkłada się na Halloween. Nie dlatego, że facet był szczególnie nieforemny, ale ponieważ sprawiał wrażenie poważnego, piastującego kierownicze stanowisko biurokraty, którego najskuteczniejszą bronią jest zaoszczony ołówek, a nie karabin M16. Miał stalowe oprawki okularów i stalowoszare włosy ostrzyżone i uczesane jak u ucznia. Jego dystynkcje i naszywki potwierdzały, że naprawdę jest podpułkownikiem armii Stanów Zjednoczonych i że nazywa się Morgan.

— Przepraszam, pułkowniku — powiedział Reacher. — Szukam major Turner.

— Siadajcie, Reacher — odparł facet, który nazywał się Morgan.

Dominująca osobowość jest czymś rzadkim i cennym, w armii nader pożądanym. A facet, który nazywał się Morgan, miał ją rozwiniętą w bardzo dużym stopniu. Jego głos, podobnie jak

włosy i oprawki okularów, był stalowy. Nie wredny, nie chępliwy i nie napastliwy. Po prostu bazujący na przekonaniu, że każdy rozsądny człowiek zrobi dokładnie to, co każe mu Morgan, ponieważ nie ma wyboru.

Reacher usiadł na krześle dla gościa, bliżej okna. Krzesło miało sprężyste metalowe nóżki i najpierw ugięło się lekko, a potem odgięło pod jego ciężarem. Pamiętał to uczucie. Siadywał na nim wcześniej z takiego czy innego powodu.

— Proszę mi dokładnie wyłuszczyć cel pańskiej wizyty — poprosił Morgan.

W tym momencie Reacher zaczął się obawiać, że usłyszy smutną wiadomość: Susan Turner nie żyje. Prawdopodobnie zginęła w Afganistanie. Albo w wypadku drogowym.

— Gdzie jest major Turner? — zapytał.

— Nie tu — odparł Morgan.

— Więc gdzie?

— Być może do tego dojdziemy. Ale najpierw muszę wiedzieć, skąd bierze się pańskie zainteresowanie.

— Jakie zainteresowanie?

— Major Turner.

— Nie jestem nią zainteresowany.

— Wymienił pan jej nazwisko przy bramie.

— To sprawa osobista.

— To znaczy?

— Rozmawiałem z nią przez telefon. Wydała mi się interesującą osobą. Pomyślałem, że wpadnę i zaproszę ją na kolację. Regulamin polowy nie zabrania jej się zgodzić.

— Ani, co całkiem możliwe, odmówić.

— W rzeczy samej.

— O czym rozmawialiście przez telefon? — zapytał Morgan.

— O tym i owym.

— A dokładnie?

— To była prywatna rozmowa, pułkownika. I nie wiem, kim pan jest.

— Jestem komendantem sto dziesiątej jednostki specjalnej.

— Nie major Turner?

— Już nie.

— Sądziłem, że to stanowisko powinien objąć ktoś w randze majora, a nie podpułkownika.

— To tymczasowe dowództwo. Moją specjalnością jest rozwiązywanie problemów. Przysłano mnie, żebym tu posprzątał.

— Coś było tutaj nieposprzątane? To chce mi pan powiedzieć?

Morgan zignorował to pytanie.

— Wybrał się pan tu specjalnie, żeby spotkać się z major Turner? — zapytał.

— Niespecjalnie — odparł Reacher.

— Czy zażądała, żeby pan się tutaj zjawił?

— Niespecjalnie — powtórzył Reacher.

— Tak czy nie?

— Ani jedno, ani drugie. Moim zdaniem taka była niesprecyzowana intencja obu stron. Gdybym był przypadkiem w tej okolicy. Coś w tym rodzaju.

— I tak się złożyło, że przebywa pan w tej okolicy. Dlaczego?

— A dlaczego nie? Muszę gdzieś przebywać.

— Twierdzi pan, że jechał tu aż z Dakoty Południowej, opierając się na niesprecyzowanej intencji?

— Spodobał mi się jej głos — odparł Reacher. — Ma pan z tym jakiś problem?

— Jeśli się nie mylę, jest pan bezrobotny?

— Aktualnie tak.

— Od jak dawna?

- Od zakończenia służby w wojsku.
- To niewybaczalne.
- Gdzie jest major Turner? — zapytał Reacher.
- Nie rozmawiamy o major Turner — odparł Morgan.
- W takim razie o czym rozmawiamy?
- Rozmawiamy o panu.
- O mnie?
- Zupełnie bez związku z major Turner. Ale to ona wyciągnęła pańskie akta. Może pan ją zaciekał. Przy pańskich aktach była adnotacja. Kiedy je wyciągnęła, powinno to było zwrócić naszą uwagę. Co zaoszczędziłoby nam trochę czasu. Niestety, tak się nie stało i adnotację zauważono dopiero, kiedy je zwróciła. Ale lepiej późno niż wcale. Bo w końcu się pan pojawił.
- O czym pan mówi?
- Zna pan niejakiego Juana Rodrigueza?
- Nie. Co to za jeden?
- W swoim czasie interesowała się nim sto dziesiąta. Teraz nie żyje. Zna pan kobietę o nazwisku Dayton? Candice Dayton?
- Nie. Ona też nie żyje?
- Nie, pani Dayton na szczęście nadal żyje. Chociaż, jak się okazuje, jej życie nie jest usłane różami. Na pewno pan jej nie pamięta?
- O co w tym wszystkim chodzi?
- Masz kłopoty, Reacher.
- Z jakiego powodu?
- Sekretarz armii otrzymał dokument obdukcji, z którego wynika, że pan Rodriguez zmarł wskutek pobicia, do którego doszło szesnaście lat temu. Biorąc pod uwagę, że w takich wypadkach nie obowiązuje przedawnienie, stał się ofiarą zabójstwa.
- Twierdzi pan, że sprawcą był któryś z moich ludzi? Szesnaście lat temu?